

Maria Smoła

P o kilku latach starań zostałam przyjęta na Wydział Filozoficzny Uniwersytetu Warszawskiego. Cieszyłam się niezmiernie, bo jeszcze nie wiedziałam, co to naprawdę znaczy w 1954 roku studiować w Polsce filozofię.

Program I i w dużej części II roku studiów był tak skonstruowany, aby „uzbroić nas ideologicznie”, zanim zetkniemy się z filozofią niemarksistowską. A więc mieliśmy: podstawy marksizmu-leninizmu, materializm dialektyczny, materializm historyczny, ekonomię polityczną. Oprócz tego były przedmioty neutralne, jak logika, matematyka, fizyka, przyrodoznawstwo, historia powszechna, a także język rosyjski, który przynajmniej częściowo można zaliczyć do kategorii pierwszej. Wykłady z historii filozofii pojawiły się na II roku. Tak więc w praktyce przez dwa lata czytaliśmy głównie prace Marksa, Engelsa, Lenina i Stalina oraz komentarze do tych pism.

Z Marią Ossowską zetknęłam się po raz pierwszy za pośrednictwem jej książki *Moralność mieszczańska* wydanej w 1956 roku. Mieliśmy przeczytać na ćwiczenia I rozdział tej książki, przeczytałam od razu całą. Zafascynował mnie nie tylko temat, ale również sam fakt, że nieznana mi wówczas autorka podjęła chłodną analizę pojęcia mieszczaństwa, które zarówno w oficjalnej propagandzie, jak i w języku potocznym funkcjonowało jako epitet i to epitet, który mógł spowodować nieprzyjemne konsekwencje dla osoby, której dotyczył. W dodatku zaimponowało mi to, że autorce chciało się pracować nad książką, która, gdyby nie nagła zmiana warunków politycznych, mogłaby nigdy nie ukazać się w druku.

Wkrótce poznałam również ją samą, bowiem w październiku 56. – wraz z innymi profesorami została przywrócona do pracy na Wydziale Filozoficznym. Chodziłam na wszystkie prowadzone przez nią zajęcia: wykłady, seminaria, konwersatorium.

Pamiętam, że gdy szła korytarzem, uprzejmym skinieniem głowy witając studentów odzianych w szaro-burą jodelkę – wysoka, wyprostowana, elegancka, w dużym kapeluszu na srebrzystych włosach – wydawało się, że przybyła z jakiejś innej planety. Do studentów zwracała się „pani-pan”, a o swoim mężu profesorze mówiła po prostu „Stach”. Inni wykładowcy i asystenci – przynajmniej do Października 56. najczęściej mówili do nas „wy”. Jeden z wykładowców dla udokumentowania swojej proletariackiej postawy miał zwyczaj zdejmować marynarkę, zawiązać rękawy koszuli i siadać na stole. Maria Ossowska wygłaszała swoje wykłady, stojąc.

Imponowało, ale i zdumiewało (zwłaszcza studentów) jej podejście do pracy naukowej. Wstawiała wczesnym rankiem i z przerwami na śniadanie i obiad pracowała do godziny 16.00. Krążyły wieści, że gdy złamała nogę i leżała na wyciągu, pisała na maszynie, którą postawiła sobie na brzuchu (miała taką malutką maszynę). Pewnego roku podczas wakacji dowiedziałyśmy się z koleżanką, że Pani Maria odpoczywa w jednej z pobliskich wiosek. Drogę wskazał nam stukot maszyny do pisania dobiegający spoza otwartego okna któregoś domu.

Budziła respekt. Podziwiałam ją, ale wydawała mi się daleka i niedostępna. Gdy poznałam ją bliżej, stwierdziłam, że moje pierwsze wrażenie było mylące. W relacjach towarzyskich okazała się osobą miłą, serdeczną, z poczuciem humoru, zainteresowaną losami innych ludzi, skłonną do pomocy, również finansowej. Czuła się niemal dotknięta, gdy ktoś znajdujący się w potrzebie nie zwrócił się do niej z prośbą o pożyczkę. Ze swojej pensji na pół etatu kierownika Zakładu Historii i Teorii Moralności w IFiS PAN ufundowała stypendium dla biedniejszych studentów, nie zdradzając jednak źródeł pochodzenia tych pieniędzy. Podobnie postąpił Stanisław Ossowski. Sama byłam przez jakiś czas taką stypendystką, ale o kulisach tej sprawy dowiedziałam się później i od kogo innego. Gdy odkryła we mnie zapaloną czytelniczkę książek, stały się one częstym tematem naszych rozmów. Pozwalała mi grzebać na regałach, pożyczała książki, które jej samej się podobaly. Westchnęła kiedyś, podając mi książkę: zazdroszczę ci, że masz jeszcze przed sobą tę lekturę. Dzięki Pani Marii miałam również możliwość zapoznawania się z wydawnictwami paryskiej „Kultury”.

Jednocześnie w mojej świadomości kształtował się jeszcze inny obraz Marii Ossowskiej. Już jako młoda dziewczyna uznała naukę i pracę naukową za cel swojego życia i dążyła do jego realizacji rezygnując ze wszystkiego, co mogłoby stanąć temu na przeszkodzie. Broniła się przed miłością, nie chciała mieć dzieci – obawiając się, że utraci niezależność i kontrolę nad własnym życiem.

Swobody w wyborze drogi życiowej chciała nie tylko dla siebie. Bliskie jej były ideały zrównania praw kobiet i mężczyzn, wolnego dostępu kobiet do szkół, zapewnienia kobietom możliwości stanowienia o własnym losie. Tymczasem – jak mówiła i pisała – w każdym czasie niezależnie od systemu społeczno-politycznego danego społeczeństwa kobietom wyznaczano taką samą rolę: opiekunki domowego ogniska, żony i matki; wzór osobowy kobiety zawsze przypominał wzór osobowy dobrego sługi. Bardzo była oburzona, gdy na którejś międzynarodowej konferencji wyznaczono jej miejsce wśród kobiet towarzyszących swoim uczonym mężom i postawiono przed nią tabliczkę z napisem „Wife of Ossowski”.

Po studiach zajmowała się semantyką, prace z tej dziedziny stały się podstawą jej habilitacji. Dostyc szybko jednak jako swój temat, którym zajmowała się już do końca życia, obrała moralność, gdyż – jak mówiła – nie budził on szczególnego zainteresowania innych uczonych i dzięki temu uzyskiwała szeroko otwartą przestrzeń dla własnych dociekań. Swoje pierwsze artykuły z zakresu badań nad moralnością publikowała w Polsce okresu międzywojennego, gdzie nad zagadnieniami etycznymi ciążyła wielowiekowa tradycja ujmowania ich wyłącznie w katego-



riach dobra i zła, powinności, zakazów i potępień. Czytelników raziła postawa beznamietnego obserwatora zjawisk moralnych, oburzały wnioski płynące z przeprowadzonych analiz, pozwalające pojęcie moralności – ze względu na jego niespójność – przyrównać do pojęcia nabiąhu. Nawet w kręgu zaprzyjaźnionych humanistów budziły się obawy, że takie podejście może stanowić zagrożenie dla świata wartości.

Maria Ossowska w swojej twórczości nieskłonna była do ulegania uznanym autorytetom; podporządkowana własnemu procesowi myślenia upatrywała zagadnienia i stawiała pytania również tam, gdzie inni uważali sprawę za dostatecznie już wyjaśnioną.

W latach powojennych, gdy polscy naukowcy, a zwłaszcza humaniści, znaleźli się pod silną presją władz politycznych – nie ugięła się i nie zastosowała do płynących z góry dyrektyw. Wybrała życie na uboczu i pisanie do szuflady. Podczas tzw. odwilży włączyła się do publicznego dyskursu na tematy dotychczas zakazane (była aktywną uczestniczką dyskusji w klubie Krzywego Koła i na zebraniach Polskiego Towarzystwa Socjologicznego).

Tematem swego jubileuszowego wykładu w 1966 roku Maria Ossowska uczyniła pojęcie godności, rozumianej jako walor osobisty nieprzysługujący automatycznie człowiekowi jako takiemu. W tym znaczeniu godność ma ten, kto posiada własną hierarchię wartości i gotów jest jej bronić w sytuacjach zagrożenia. Pani Maria często powtarzała: „człowiek niczego nie musi, tylko umrzeć musi”.

Maria Ossowska nie ograniczała swoich zainteresowań do zagadnień naukowych. Od młodości zaangażowana była w działalność społeczną. Uważała, że bierność oznacza akceptację istniejącej rzeczywistości. W okresie międzywojennym działała na rzecz szkoły świeckiej, brała udział w akcjach oświatowych, w latach 30. uczestniczyła w protestach przeciw wystąpieniom antysemickim na polskich uczelniach. Podczas okupacji współorganizowała Podziemny Uniwersytet Warszawski, w swoim mieszkaniu wraz z mężem prowadziła tajne seminaria. Ich mieszkanie było również tzw. Ogniwem Rady Pomocy Żydom, tj. lokalem, w którym przebywały czasowo osoby pochodzenia żydowskiego. Za tę działalność oboje Ossowsky otrzymali wyrok śmierci od jednego z podziemnych ugrupowań skrajnie nacjonalistycznych, które dążyło do eliminowania ludzi uznanych przez siebie za przeciwników politycznych. We *Wzorze demokracji* opublikowanym w okupacyjnym druku podziemnym napisała: „Cenimy zwłaszcza tych, którzy łącząc ofiarność z poczuciem odpowiedzialności za życie zbiorowe – nie pytają dlaczego służby społecznej mieliby podejmować się właśnie oni, lecz pytają dlaczego oni właśnie mieliby się od niej uchylać”.

W latach 60. w związku z zaostrzeniem się kursu politycznego w Polsce, już bez oparcia w zmarłym wcześniej mężu, Maria Ossowska zaangażowała się bardzo mocno w działalność publiczną. Była sygnatariuszką Listu 34; już po otrzymaniu nagany od ministra szkolnictwa wyższego i rozpętaniu się historycznej nagonki na autorów Listu, a w jeszcze większym stopniu przeciw jego rozpowszechnianiu – udostępniała ów List każdemu, kto chciał się z nim zapoznać. Brała udział

w dyskusjach nad projektem kodeksu karnego, wypowiadała się przeciwko karze śmierci, broniła studentów zagrożonych w 68. relegowaniem z uczelni, występowała w obronie ludzi więzionych za przekonania. Sama, już poważnie chora i słaba, przesiadywała całe dnie na sali sądowej jako mąż zaufania osób sądzonych w procesach zamkniętych. Gdy kiedyś odwiedziłam Ją w szpitalu i spytałam jak się czuje, odpowiedziała wzburzona: „jak ja się mam czuć, gdy leżę tu bezsilna, a tam się dzieją takie rzeczy?!”

Klemens Szaniawski we wspomnieniu pośmiertnym napisał, że Maria Ossowska, będąc neutralną jako uczona, nie była neutralna jako obywatelka. Czuła się współodpowiedzialna za moralny kształt życia publicznego i ta współodpowiedzialność oraz obowiązki z niej wynikające stanowiły obok pracy naukowej istotny sens jej życia.

Dzięki swojej postawie w trudnych warunkach życia, w jakich przyszło jej żyć, Maria Ossowska stała się autorytetem moralnym dla wielu ludzi, nawet tych, którzy nigdy nie zetknęli się z nią osobiście. A dla nas, osób z jej najbliższego otoczenia była – jak to określiła Ija Lazari-Pawłowska – jednoosobowym układem odniesienia.